

# Krajobrazy



ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

## *Krajobrazy*

### I. PÓLNOCNY

Ziemia przywdziała swój płaszcz śnieżny, na którym, niby ogonki gronostajowe, czerniły się drzewa i krzewy, postacie ludzkie i zwierzęce, a brzegiem biegł ciemny pas lasów. Szara i rzadka mgła rozmasała się po sklepieniu niebios; u ich stropu zawieszono słońce płonęło w mętach obłocznych jak lampa w zakurzonem szkle mlecznem. Świeciło ono takim małym, księżycowym krążkiem, jak gdyby jego oko raziła oślepiająca białosc śniegu. Powietrze napełnione było jasnością, ale chłodną, przyćmioną i bardziej bijącą z dołu, niż padającą z góry. Nie przebiegały po niem żadne mocne dźwięki, przelewały się tylko głuche szумы.

(Były to szумы płetw i leniwe ruchy tworów, napełniających przestrzeń i pływających w niej niby we wnętrzu morza, niewidzialnych, bo przezroczystych, lodowatych i śnieżnych. Nie cieniowała ich żadna inna barwa; żaden inny żywioł, prócz zamrożonej wody, nie wchodził w skład ich ciał szklanno-przejrzystych. Miały one kształt rozmaitego, choć zawsze dziwnego kroju — ryb, ptaków i zwierząt. Jedne podobne były do wielorybów, które co chwila rozwierały przepaścistą paszczę, wchłaniały rojącą się fałę, a wystrzyknąwszy powietrze górnym otworem głowy i połknąwszy wąskim gardłem żyjątko drobniejsze, wypływały z odrazą istoty grubsze. Przy boku tych olbrzymów uwijał się rodzaj długich, zwinnnych i nienasyconych rekinów, które pożerały wszystko żywe, a nawet siebie wzajemnie; mniejsze tonęły w większych, te zaś w największych, nadziewając się tak sobą, w miarę siły i obszerności żołądka. Krążył również gatunek, któremu wierzchnia szczeka, wydłużona i uzębiona jak piła, służyła za broń do przebijania ofiar, oraz zwinne, wytwornej postaci ryby, pływające grzbietami ku spodowi. Na dole pełzały ogromne raki i żółwie, kołysały się potworne wielonogi i głowonogi, jednookie, kolcami zjeżone, długimi wąsami nastrzępione i zwojami galaretowatych sznurków obrosłe, w pancerzach gładkich i chropowatych, w łusce lśniącej i matowej. Ślimaki poruszały wolno mackami, zwierzokrzewy rozkładały swe sztywne ramiona. Od czasu do czasu przemknął wśród nich ptak z szerokim dzióbem i zrosłymi palcami lub przesunęło się bezkształtne cielsko zwierzęcia, przypominającego fokę, psa lub niedźwiedzia morskiego.

Wszystkie te twory lodowate, przejrzyste, zlewały się z powietrzem i pozostawały niewidzialne dla oczu ludzkich, dostrzegających tylko szarą kopułę nieba, opartą skłonami na śnieżnym kręgu ziemi).

Niby para nurków, szukających pereł i koralu, niby dwoje utopionych w morzu zimy, stąpali po jego białem dnie otuleni w wełniane szaty i futra. Z całego ich ciała widniały tylko blade twarze, w których głęboko ukrytym żarem płonęły zapalające się wzajemnie od siebie niebieskie oczy. W owym świetle chłodu i białosci był to jedyny ogień i jedyna barwa.

Szli długo w milczeniu, goniąc wzrokiem płatki śniegu, który pruszyć zaczął; nareszcie ona odezwała się:

- Za wiele pan milczysz.
- Bo należą również — odrzekł on — do krajobrazu zimowego. Prawdziwi ludzie północy wiele milczą.
- Czyż pan jesteś jej synem.
- Przybranym.

— Dlatego właśnie powinienś pan mówić. Do ustronia mojego późno i słabo dola-  
tują echa gwaru wielkich rynków życia. Co tam obecnie ludzie najchętniej kupują i sprze-  
dają?

— Wszystko mają do zbycia, prócz wygody osobistej. Świat ogłosił ogólną wyprze-  
daż starych ideałów i zamierza sprawić sobie nowe. Charaktery i rozумы posiadają swój  
cennik i wystawiane są na targach jak ryby i warzywa. Skutkiem obfitej podaży produk-  
ty te staniały. Nieraz kuropatwa drożej kosztuje, niż cnota. A przytem, jak zwykle, na  
jarmarkach ludziska oszukują się, biją i okradają. Czy pani chciałabyś coś kupić?

— Troszkę swobody.

— Towar to najkosztowniejszy, a nadto wyrób jego ma być możliwie ograniczony.

— Ja niewiele jej potrzebuję, zaledwie tyle, ażebym nie musiała ciągle kłamać, ażebym  
mogła przyznawać się do moich myśli i uczuć, wreszcie czynić to, co nikomu szczęścia  
nie uszczupla, a mnie je pomnaża.

— To niewiele? Mądrość przez usta ludzkie powiedziała kiedyś, że człowiek nie po-  
winien być dla człowieka środkiem, lecz celem; dziś ona w służbie i najmie wyprzysięgła  
się tej mrzonki. Dziś człowiek dla człowieka jest środkiem. Kto ma funt złota, połyka  
mających po łucie; kto ma pud, połyka funtowych, kto ma cetnar, połyka pudowych —  
i tak dalej. Bogacza można rozmienić na biedniejszych, jak dukat na złoto i grosze. Ale  
podczas gdy dukat, wchłonawszy zawarte w nim drobne pieniążki, czuje zupełne nasy-  
cenie, człowiek, który go posiada, doznaje głodu, dopóki gdzieś tam w najędźniejszej  
kieszeni spoczywa możliwy do zdobycia szeląg. Do tej kieszeni zaś sięgnie on w potrze-  
bie drapieżną ręką przez cudzy mózg, serce, płuca, zamorduje, jeśli inaczej obrabować nie  
zdoła.

— Tak rozgrzewasz pan sobie zimną myśl przesadą, jak skostniałe ręce tarcie.

— Nie, ale za to pani patrzysz na świat przez szybę obmarzłą wzorzystemi złudze-  
niami. Dziecko zabija bąka, ażeby z jego tułowia wyssać kroplę miodu, myśliwy zabija  
strusia, ażeby mu ze skrzydeł wyrwać kilka piór, lub słonia, ażeby mu ze szczęki wylamać  
kły — słowem, człowiek tępi istoty żywe dla drobnej korzyści, porzucając i marnując  
masy ciał, które po za nią zostają. I niewątpliwie, gdyby znalazł w naturze tak olbrzy-  
mie, że głowami trącałyby o gwiazdy, a on w nich upodobał sobie jeden błyszczący wło-  
sek, mordowałby je dla tego jednego włoska. Tak samo postępuje ze swym rodzajem.  
Ten, któremu polechtał oczy wdzięczny uśmiech ładnej kobiety, zbałamuci ją, znieprawi,  
zbruka, unieszczęśliwi, zmarnuje całą dla chwilowo pożądaną przyjemność pocałowania  
w koralowe usteczka. Tamten, który lubi głębokie pokłony gromady ludzkiej przed swem  
dostojnością, ogłupi ją, zuboży, ubezwładni, ażeby korniej wykonywała te ruchy. Inny  
nakryje wszystkie opanowane studnie, a połączywszy je podziemną żyłą, przeprowadzi  
od niej do swych ust słomkę, przez którą pić będzie sam wodę zdrojów, z uśmiechem  
spoglądając na spragniony tłum, co jego zamknięte krynice otacza i spieczonemi wargami  
o litość go błaga. Samolubstwo jest moralnym szkieletem natury ludzkiej, z którego  
obecnie coraz częściej opada odgniłe ciało. Wszędzie silniejszy wydziera słabszemu wię-  
cej, niż sam użytkować może. Nie potrzebujesz pani wysyłać oczu daleko, spojrzij koło  
siebie, rozważ jakikolwiek stosunek społeczny...

(W tej chwili jakiś szum nagły ogarnął rozmawiającą parę — to niewidzialne, lodowate  
twory zaczęły koło niej krążyć skwapliwie. Przyplłynął wieloryb, kilka rekinów, pił i ryb  
drobniejszych — wszystkie w ożywieniu i gniewie, niemal dotykając płetwami i ogonami  
ust mężczyzny).

Obejrzał się niespokojnie, a choć nie spostrzegł niczego, zamilkł.

— Mowa pańska — rzekła ona — jest jak ścieżka, nienależąca za stopami i prowadząca  
do przepaści, w którą trzeba się rzucić, ażeby znaleźć ukojenie.

— To też przerwałem ją.

— Dobrze pan zrobiłeś — za zimno na takie słowa, które wpadają w duszę jak kulki  
gradu.

— Ciepło krwi ludzi północnych ogrzewa zaledwie ich samych, dla innych już nie  
wystarcza. Czy pani sądzisz, że twój umysł lub twoje serce posiada temperaturę wyższą?

— Zdaje mi się.

— Przez sferę zimy przelatują rzeczywiście czasem rozpalone meteory, ale szybko gasną i ziębną. Pani widocznie nie rozmyślałaś nad ludźmi w futrach i wełnie. To jest rasa osobna, całkiem odmienna od istot, odziewających się promieniami słońca i ciepłym wiatrem.

— Rzeczywiście? Mnie się zdaje, że ludzie północni, przeniesieni na południe...

— Ziajać będą jak białe niedźwiedzie w sadzawkach ogrodów zoologicznych, albo marnieć jak sosny. Eskimo, zaszyty przez całe życie w skórę zwierząt morskich, niechętnie się rozstaje z nią i ze swoją chatą śnieżną, ogrzewaną kagankiem tłuszczu wielorybiego. A jego dusza podobna do ciała, również zaszyta w kozuch, również przyzwyczajona do lepianki ze śniegu, również poprzestaje na ciepłe tlejącego tranu i znosi długotrwałe noce. Nasze kozuchy są lżejsze a wymagania większe, ale pokrewieństwo z eskimem niezbyt oddalone. Jak ciało osłonięte skórą i sierścią zwierzęcą, tak dusza przesądami — ukazuje zaledwie swoją twarz. Grek był nagi i szczery, my ubrani i obłudni. W czym on widział piękno, w tem my widzimy bezwstydy; co on rzeźbił w marmurze, to my chowamy w szczelnie zamkniętych futerałach ubrania; co on głośno opiewał, to my szepczemy sobie poufnie do uszu. On był człowiekiem całym, my ułamkami ludzkimi, on był genialnym, my jesteśmy tylko przyzwoici. Pani, lepsza od tysiąca innych, niewątpliwie osłoniłabyś sobie rumieńcem i tę cząstkę widzialnego ciała — twarz swoją, gdybym wspomniał...

— Pozostań pan w zwyczajach północy...

(Szum się ponowił, a niedostrzegalne istoty rozpoczęły około mężczyzny swój wir gwałtowny).

— Przepraszam.

— Ale nie milcz pan — rzekła ona — my możemy sobie dużo powiedzieć, nie zdejmując futer i wełny.

— Wątpię. Alboż my po tej drodze idziemy sami? Bynajmniej. Za nami suną się niewidzialne a ciągle obecne szeregi duchów opiekuńczych z księgami ustaw, z łańcuchami zwyczajów i pętami przesądów. Wszystko to nas strzeże, krępuje, ściska, w chwilach szczerości na usta palce kładzie i ucisza. Przed tym dozorczym orszakiem nigdzie dwoje ludzi schronić się nie może, czasem tylko ucieknie przed nim jednostka, gdy zostanie sama ze swoją myślą. Człowiek północny jest podobny albo do głuchoniemego, rozmawiającego migami, albo do krętogłowa: musi ustawicznie oglądać się, czy go ktoś nie podsłuchuje i za śmiałość nie ukarze. Ludzie zaś najrozumniejsi, najuczciwsi, najpiękniejsi są wtedy, kiedy porozumiewają się z sobą, jako ludzie, a nie jako politycy, obywatele, mężowie i żony, słowem, istoty osadzone w pewnych miejscach i w pewnych stosunkach. Wówczas zawsze myślą albo o tem, jakby się wyzyskać, albo jakby się przeciw wyzyskowi ubezpieczyć.

— O czemże pan myślisz, rozmawiając ze mną?

— O tych aniołach stróżach, które czuwają nad naszym wzajemnem bezpieczeństwem. Dzięki im mówisz pani do mnie, jak spłoszona łania do szeleszczącego krzaka, za którym domyśla się tygrysa. Nie idziesz ze mną szerokim gościńcem szczerości, ale wąską ścieżką obłudy, zwiniętą po brzegu krawędzi, wzniesionej nad przepaścią, w którą każdy sęp może nas strącić uderzeniem skrzydeł. Gdy na jedną szalę kładziesz swoje słowa, na drugiej siadają widma, które ją przeważają. Spostrzegłszy je, lękasz się o mnie i o siebie. Rozmawiamy z sobą jak dwie trwogi, a nie jak dwie śmiałości. Tak, tak! Ludzie północy mają daleko mniej praw, niż obowiązków.

— Z taką tęsknotą oczekiwałam pana, a z takim smutkiem słucham...

— Z tęsknotą? Tyle nie obiecywałam sobie, mogłem tylko pragnąć.

— Gdybym nie wierzyła, że pan tego spodziewałeś się, byłabym w wyznaniu mojem wstrzemięźliwszą.

— Nawet w tej chwili przypuszczam, że pani chcesz słodyczami i cackami ubrać dla mnie wigilijną choinkę, którą po skończonej zabawie się wyrzuca.

— Jeszcze wcześniej przestałam być zalotną, niż stroić choinki, domysł więc pański jest tak spóźniony, że aż nie dotkliwy. Rozśmieszyłby mnie, gdyby mnie cośkolwiek w tej sprawie rozśmieszyć mogło.

— Dziękuję pani za tę naganę, z której wystrzela promień nadziei, jedyny, jaki ciemności mojego życia przenika. Migał on przede mną wielokrotnie i gasł natychmiast, skoro tylko chciałem na nim zawiesić szczęściem drgające ręce.

— Uważasz pan, jaki chłodny wiatr się zerwał. Wracajmy...

(Istotnie chwiał się szum niespokojnego ruchu niewidzialnych tworów, które zbiegły się i uwijały gromadą).

— Wracajmy — powtórzył mężczyzna posepnie. Czy według pani zasłiśmy już zbyt daleko?

— Ach, gdybyś pan znał głębokość mojego cierpienia! Słów w piersi utrzymać nie mogę, a chwytalabym każde, skoro mi z ust wybiegną.

— Czemu pani odmawiasz im swobody? Czemu daremnie więzisz uczucia niewinne i do niewoli nie stworzone? Gwałt zadany swojej duszy nie jest okrucieństwem mniejszem, niż cudzej. Zrzućmy oboje te lodowate maski, które nam na twarzach ciągle topnieją i krzepną, powiedzmy otwarcie, że...

(Mocny wicher zatamował mu wyrazy, a niewidzialne postacie w szalonych rzutach przewinęły się tłumnie między nimi).

— Na litość — zawołała ona błagalnie — nie mówmy o tem. Zimno mi...

— Widocznie futro pani jest jeszcze za lekkie.

— Już niedaleko do domu. Jak nas pan odwiedzisz w lecie, pokażę panu róże mojego szczepienia.

(Szum ustał, powietrze uspokoiło się, a pływające w niem twory gdzieś znikły):

— Niechże je pani zasadzi w piwnicy, ażeby, jak my, nie pokazywały słońcu rozkwitłych myśli i uczuć.

## 2. POŁUDNIOWY

Słońce toczyło się ku zachodowi ognistą kulą po wierzchołkach gór, które wydłużonym półkregiem usiadły nad zatoką morską, zapatrzone w jej modre zwierciadło. Błękit nieba nieco spłowiał, w powietrzu rozlały się strumienie orzeźwiającego chłodu, w wąwozy, rozłamy i zgięcia wsuwały się pierwsze cienie zmierzchu, ale za to każdy niemal ząb wielkiego grzebienia skał płonął innem światłem, każdy szczyt gorzał odmienną grą blasków. Morze, dostrzegłszy te światła, chwyciło je i jak brylantami ozdabiało lekko falującą pierś swoją. Kwiaty posyłały słońcu swe wonie, któremi ono upojone, coraz niżej opuszczało senną głowę w mięki, luną pozłocony obłok.

(Z nieba ku ziemi na lekkich skrzydłach sfrunęły i krążyć nad nią zaczęły lotne wietrzyki. Ciała ich przezryste a kształty mieniające się najrozmaitszemi postaciami ptaków i motylów. Rojno i wesoło, ruchem żwawym a łagodnym przebiegały one z miejsca na miejsce. Tu musnęły wodę, tam zdmuchnęły kurz z listka lub trąciły gałązkę, tam znowu przeniosły obłoczek woni lub kroplę słodczy z kwiatka na usta rozmarzonej pod palmą kobiety, tam ochłodziły skrzydłami czoło robotnika, tam wycalowały twarz dziecka lub poigrały z siwymi włosami starca. Dotykały wszystkiego swawolne a miłe, natrętne a rozkoszne, niespokojne a błogie. Od czasu do czasu śród tego roju przesunął się lotem wolnym i poważnym skrzydlacz wspaniały, niby orzeł królewski, który zataczał koła nad głowami ludzkiemi, słuchał i śledził bystrym wzrokiem, wreszcie porywał z ust słowa i natchnienia, niby gwiazdy, wzbijał się w górę, zawieszał je na sklepieniu niebios lub przytwierdzał do tarczy słońca).

Nad stromym brzegiem zatoki rozstawił się gaj pomarańczowy, w którym gdzieś wybiegały oliwki, tuje i palmy. Tu wietrzyki bawiły się najswawolniej, zaczepiając figlarnie wszystko: liście krzewów, płatki kwiatów, źdźbła trawy, ale najgęstszym rojem okrzyły postać kobiety, leżącej pod drzewem palmowem, która na ich pieścizoty odpowiadała co chwila wdzięcznym uśmiechem. Wsuwały się między jej kruczce włosy, dmuchały w jej długie rzęsy, psotnie podnosiły rąbek jej białej szaty, a wśliznąwszy się pod nią i skradłszy pocałunek z jej różowego ciała, uciekały szybko, ażeby znowu powrócić. Ona nie płoszyła ich i poddawała się tym niewinnym zalotom. Przymknęła nieco oczy, w których z pod powiek przeblyskiwał żar utajony; czoło białe, niby wykrojone z liścia nenufaru, podparła delikatną ręką, twarz piękną, na której jak gdyby róże, lilie i jaśminy złożyły swą najczystsza świeżość i najcieplejsze barwy, owiała pogodnem zadowoleniem, nozdrzami łagodnie zagiętego nosa i kielichem ust rubinowych piła zapach otaczających ją kwiatów, wypuściwszy swobodnie z pod sukni kształtnie zagięte ramiona i drobne stopki, płytkimi trzewikami ujęte.

Od północy siedł ścieżką gaju mężczyzna młody, z twarzą śniadą, ciemnym włosom okoloną. Na kiju przez ramię niósł zawiniątko małe, na którym, zarówno jak na jego obcisłym, góralskim ubraniu i kapeluszu, z czoła zsuniętym, osiadł gęsto kurz podróży. W twarzy wędrowca, w jego wzroku zmętniałym mieszał się smutek z rzewną powagą. Spozrzeglwszy kobietę przystanął; ona porwała się z murawy i otarłszy twarz z marzenia, zwróciła kroki ku stojącemu niedaleko domowi.

— Nie płosz się piękna — rzekł — oczami tylko hołd ci złożę i pójdę dalej, błogosławiąc drogę, która mnie tędy przeprowadziła.

— Może zdaleka dążysz i długą jeszcze masz podróż — odparła nieśmiało — spocznij w tym gaju i jego cieniem się pokrżep.

— Drzewa odmówiłyby mi cienia, gdybym je obecnością moją pozbawił twojego widoku. Więc zostań tu dla nich, jeśli chcesz, ażeby one były łaskawe dla mnie. Istotnie z daleka przychodzę i kresu wędrówki jeszcze nie prędko dosięgnę.

— Pozostanę, bo wszystkie te drzewa są moimi przyjaciółmi i jedynie ty między nami będziesz obcym.

— Nie lękaj się, nie jestem ani złym człowiekiem, któryby cię skrzywdził złą wolą, ani przebranym bogiem, któryby cię uniósł przemocą.

— Bogowie na ziemię nie schodzą.

— Bo zginęli.

— Co ty mówisz?

— To, o czym powszechnie wiadomo: wiozł ich okręt płynący po obłokach, który rozbił się o słońce i zatonął wraz z całą załogą. Ludzie z ziemi pośpieszyli na ratunek i próbowali niektórych ocalić, ale daremnie. Czytałem o tym wypadku w księgach poważnych. Ale nie martw się, śliczna ozdobo natury, bo chociaż bogowie potonęli, gospodarstwo świata jest tak mądrze urządzone, że bez nich prawidłowo rozwijać się będzie.

— Ja cię nie rozumiem, przechodniu, z obcej zapewne przybywasz krainy, gdzie myśl człowiecza z obciętemi skrzydłami chodzi po ziemi i ziarnka wygrzebuje, spoglądając ku niebu jednym okiem po to tylko, ażeby zobaczyć, czy tam nad nią jastrząb się nie waży. A może skwar dzienny duszę twoją marami otoczył?

— Wymowniejszą jesteś, niż sądziłem — to dobrze Nie pojmujesz mnie dlatego, że słowa moje w przelocie do uszu twoich ziębną i siłę tracą; gdybym mógł gorące pocałunki ustami mojemu na twoich odciskać, przekonałbym cię niezawodnie.

— Opuścić muszę ten gaj, skoro w nim takie słowa brzmieć mają.

— Nie odchodź, najpiękniejsza z róż tu kwitnących; jeśli tego wymagasz, będę tak milczał jak ten cyprys, który chłodną kiść na spieczonej głowie mi położył.

(Wietrzyki, jak gdyby strwożone, zaczęły przelatywać od mężczyzny do kobiety, siadać na ich wargach i oczach, krążyć około ich piersi i szeptać coś do uszu tajemnym szmerem).

— Prośba twoja oplotła mi serce jak bluszcz urnę i zatrzymuje mnie na miejscu.

— Niech życie tę szlachetną urnę, jeżeli jeszcze pusta, za taką dobroć napełni najczystsza i najśodsza miłością. Pewnie o tem marzyłaś, gdyś cię spłoszył...

— Uczucia moje jeszcze nie splatają się w wianki i nie płoną gromnicami dla żadnego obrazu.

— A wyglądałaś tak, jak gdyby przed chwilą ktoś cię oczarowaną opuścił...

— Książę tędy przejeżdżał i pozdrowił mnie łaskawie kilkoma wyrazami.

— Zapewne poluje w tej okolicy na urodziwe łanie i ciebie mu wytropiono. Nie poczułaś po jego odjeździe bólu od celnej strzały?

— Nie obrażaj go bez potrzeby, on jest ojcem narodu.

— I chce pomnożyć swoje dzieci, więc szuka pięknych matek.

— Żegnaj cię, wędrowcze, idź dalej i pytaj ludzi, a oni ci zdejmą z języka to bluźnierstwo.

— Właśnie pytałem ich i oni mi je na język włożyli. Wasz książę ogarami szczeni mężczyzn, a wyzłami tropi kobiety; za pieniądze odebrane mężom kupuje kosztowne podarki ich żonom. Jest on właśnie kochankiem swego narodu.

— Taką ci prawdę istotnie w uszy włożono?

— A gdzież bym ją, obcy między wami, znalazł?

— Bolesnie słyszeć, jeszcze bolesniej wierzyć... Układny i strojny pan, który księciu towarzyszył, szepnął mi o nim, że teraz naszą okolicę szczególnymi dobrodziejstwami obsieje.

— Bądź pewną, że znaczną część ich plonu ten dworak zbierze.

— Któż on jest?

— Jeden z łowczych waszego księcia, a może pies ulubiony.

— Za nimi pośpieszał liczny orszak, który śpiewał z zapalem pieśń sławiącą księcia. W przejeździe kilku wesołych młodzieńców uczciło mnie grzecznym powitaniem, tylko jakiś wśród nich stary satyr zabawił się rubasznie moim rumieńcem. „Przedziwny owocu natury — zawołał — pozwól, ażeby cię zerwała godna ręka. Książę ma dosyć dla swych biesiad i choć cię dojrzał, zapomni; ale ja uboższy od niego pamiętać będę, w bogactwo cię oprawię, zbytkiem otoczę”... Aż krzyknęłam. Odjechał prostak, przesyłając mi ręką czułości...

— Rzetelny człowiek, on ci na mowę prozy przełożył poezję nikczemności. Przywykł obnażać swe żądze, płatać ofiary żywcom, jak ryby dla wydobycia z nich ikry, parskać śmiechem wobec wszelkiej cnoty, karmić samolubstwo aż do zatycia, krople krwi cudzej skamieniać na korale, a lzy na brylanty swych pierścionków — więc przemówił prosto i dlatego wydał ci się tak szpetnym. Jest to rekin morza społecznego.

— I mnie już napastowały nieraz złe przecucia, ale je zawsze rozpędzał spowiednik.

— Czy to klecha z waszej wioski? Spotkałem go odmawiającego pacierze za pomyślność poczciwych ludzi, którzy mu napchali kieszenie, sięgające do kostek. Zbyt czuje sytość własną, ażeby mógł zrozumieć głód cudzy. Im więksi zaś grzesznicy, tem sowitszą płacą mu daninę za wstawienictwo do nieba. Oni są jego najcenniejszym inwentarzem. Owca goła i chuda mało warta; od wieków strzyżone bywają zwykle tłuste i obrosłe wełną.

— Opowiadano mi bajkę, że w innych krajach, zimniejszych, język sztywnieje, wargi martwieją, gdy przez nie przejdzie szczerzy głos duszy; że między ludźmi uwijają się przeróżne twory, które tamują wylew słów swobodny; tam niedoświadczeni, nierozumni, naiwni muszą być szczęśliwsi, tam i mnie, stojącej nad brzegiem życia i nieplywającej po jego głębiach, byłoby lepiej, tam nikt nie okryłby świata przed moim wzrokiem ciemną zasłoną. Przelatujesz koło mnie jak tuman duszącego kurzu... Bądź zdrow i nie wracaj tą samą drogą.

(Motyle i ptaszki powietrzne w gęstych stadkach zaczęły przelatywać między mówiącymi, których twarze rozrzewniła jakaś ku sobie tęsknota).

— Przebac — rzekł mężczyzna — a niech na tem miejscu, na którym spocząłem, nie zostanie złe o mnie wspomnienie.

— Odchodzisz smutny, więc zabierz na drogę ten kwiatek, który cię rozweselać będzie, a gdy uschnie, oberwij jego płatki i połóż na zrębie skały: wiatr je stamtąd weźmie, gdy będzie biegł w tę stronę i do mnie przyniesie.

— Bodajby w koronie twego szczęścia więcej listków wykwitło i nigdy żaden nie usechł. Ujrawszy cię, nie przypuszczałem, że jak fala morska o brzeg uderzę i słoną wodą cię obryzgam. Mniemałem raczej, że oziębłe serce przy promieniach twej cudownej postaci ogrzeje i do mocniejszych drgnień pobudzę. Biło ono dotąd, ale tyle tylko, ile dla podtrzymania życia pracować potrzebowało. Gdy znużone jednostajnym ruchem omdlewało, orzeźwiała je nadzieja, że kiedyś iskra do niego wpadnie i płomień miłości roznieci. Oddalam się z tą iskrą, którą tęsknota będzie rozdmuchwiała a rozpacz gasić. W mgławicy marzeń moich zaświeciłaś jako gwiazda, choć mi cię chmury przesłonią, ja wzroku zwracać ku tobie nie przestanę.

— Pozostań jeszcze chwilę, niech oprzytomnieję, bo odurzona dusza moja pobiegłaby z płaczem za tobą. Nie umiem już mówić przystojnie, nie władam myślą, ogarnia mnie półsen rozkoszny, czary padają mi na zmysły. Albo uciekaj, uciekaj coprędzej!

(Wietrzyki obwiałły łagodnie czoło opartej o palmę kobiety).

— Już odejść nie mogę, chociaż ty mi rozkazujesz. Po jednej stronie mojego serca stanęła twoja wola, po drugiej — uroki, ono korzy się przed obiema temi mocami, ale wtedy dopiero ulegnie pierwszej, gdy odejmiesz ostatnią. Jeśli tego żądasz, pobiegnę jak wichur i oblatywać będę naokoło ziemię, omijając tylko ten gaj, w którym kwiaty z piękności twojej wzory dla swych strojów biorą; przyrosną daleko do wielkiego dębu, któremu najwścieklesza burza gałęzi odłamać nie zdoła; ale zgaś wprzód promienie twych

oczu, sinym gniewem powlecż wargi, przesłoń twarz gęstą chmurką, niech cię widzieć przestanę, niech nawet twego głosu nie słyszę, tylko życzenie myślą odgaduję.

— Coś ty mi powiedział takiego, że władzę obcą nad moją duszą poczułam? Chwieję się niby wiotka trzcina pod gorącym powiewem, ogarniają mnie tajemnicze płomienie, koło głowy wirują skry niezliczone, wola wybiega na różne drogi i z każdej strwożona się cofa... Przez litość odwołał te czary... Ja niczem ci nie zawiniłam, nie chciałam ani wygiąć ku sobie twej drogi prostej, ani zwrócić wzroku twojego... Przędłam w tej samotni rojenia, nie na żadne sidła...

— Jutrzenko smutnego wędrowca, nie oskarżaj twej jasności i mojego dla niej uwielbienia: oboje nie zawiniłiśmy. Ty zaświeciłaś na niebie, a ja, szukając gwiazdy przewodniej, zapatrzyłem się w twój blask, pod którym olśniony stoję. Tak jesteś oddalona ode mnie, że tylko zachwyconem spojrzeniem dotknąć cię mogę, a ono cię nie pokala, nie przyciągnie, nie skradnie z twych blasków ani jednego temu, któremu wszystkie oddałaś.

— Nikomu...

— Nikomu? Czyż podobna, ażeby one dotąd na żadne serce miłością nie padły i miłością w twojem się nie odbiły?

— Nie.

— Taką dumą natura pierś twoją opancerzyła...

— Raczej trwogą. Koło tego gaju przechodzili dotychczas ludzie albo grzeczni, którzy mi bukiety pochlebstw pod nogi rzucali, albo — jak to sam zauważyłeś — niegodziwi, którzy rozpyloną zręcznie obłudą odurzyć mnie usiłowali. Instynkt ostrzegwał moją duszę tam, gdzie jej doświadczenia brakło. Ani razu nie przeniknął mię rozkoszny dreszcz, ani razu nie zawrzała krew; doznawałam zaledwie przelotnych podnieceń lub niewytlómaczonej bojaźni. Dopiero twoja mowa...

— Pozwól mi skrócić jeszcze tę małą przestrzeń, która nas dzieli, zbliżyć się do ciebie na odległość oddechu i szeptu. Nie nadużyję twej dobroci, nie znieważę majestatu kobiecego, nie zbluźnię płochem słowem, a zamilknę, zanim każesz. Jeszcze chęć twoja na usta nie wybiegnie, ja już ją spełnię. Nie bądź dla mnie skąpszą, niż dla tego drzewa, do którego się przytuliłaś i które zgina sztywne konary, ażeby cię nimi ucisnąć i liśćmi ucałować. Ja twoje ręce i oczy całuję oczami. Boginie ustom czcicieli tej łaski nie odmawiają... Nie pełzam zdradnie, ale idę ku tobie... nie bronisz? Posunąłem się znacznie, rozeznaję już niebieskie żyłki twoich skroni, włoski brwi, krążek żrenicy, zetknięcie płatków różowych i białych na twarzy... zdaje mi się, że widzę czerwone kulki krwi pod delikatnym atlasem twej skóry, ich przyśpieszone tętna...

— Ach, ratuj mnie!

— Ręce zarzuciłaś mi na szyję i o ratunek prosisz? Czy mam je rozerwać, a siebie rozpaczliwie cisnąć w otchłań morza, które tam przy brzegu w skałach zamknięte otwiera chciwą paszczę?

— Nie, ale nie prowadź mnie nad krawędzią przepaści, ażebyś nie strącił w nią, gdzie ścieżka dla dwojga będzie za wązka.

— Nie zły sen, który straszy marami, ale szczery człowiek, który kocha, w objęciach cię trzyma. Daj mi usta twoje, niech z nich wypiję pierwszy toast naszej miłości. Słodki soku czystych serc ludzkich!...

(Szelesty traw ucichły, wietrzyki zatoczyły wolnym ruchem koła nad połączoną długim pocałunkiem parą, której twarze słońce oblało swym ostatnim blaskiem).

— Noc cię rozkradać zaczyna, niedługo już tylko zostanie mi twój głos i wonne ciepło ciała.

— Wdzięczna jej jestem, że oponą nakryła moją wstydlivość...

— Nie powiesz dniowi, że mnie kochasz?

— Nie jutrzejszemu. Jeszcze sama się z tem do jutra nie oswoję... będę unikała drzew i kwiatów, ażeby tajemnicy mojej nie zdradziły — w słońce śmiało nie spojrzę...

— Dziecko drogie, czemu?

— Do serc kobiecych miłość prawdziwa zawsze wchodzi z obliczem zasłoniętem. Mój drogi, po co ten księżyc wyszedł na niebo i tak ciekawie nas śledził!

— Usłyszał moją skargę na ciemność i przybywa ze swą bladą lampą. Dobry włóczęga poświęcił... Znów widzę włosy, które zazdrośnie czoło i szyję twoją zakryły przed moimi pocałunkami, oczy gorejące, usta w rozkosznym drżeniu, kibic ku mnie przegięta, nawet



stopki odnajduję w trawie... Świeć zacy latarniku, odpędź obłok, który cię goni... przysuń się do nas bliżej, bliżej... niech w mrokach nocy nie wątpię, że ta, którą ukochałem, jest postacią rzeczywistą, a nie złudnym cieniem. Drzę jak łodyżka suchego ziała, ażeby nie zbudził się nazajutrz z sercem, w którym miłość, jak igielka magnesowa do północy, zwracać się będzie do mary niepochwytej. Poświadcz przyjacielu i powierniku kochanków, że ona jest, stoi tu przy mnie, pierś swoją do mojej przycisnęła, rękami szyję mi oplotła, czułym uśmiechem koralowe usta zsunęła z perłowych ząbków, które ja całuję... Milczysz? Więc świeć przynajmniej... tak... dobrze... Przy twej latarni pokażę jej zebrany długą pracą majątek, który z sobą w zawiniątku noszę. Oto jest grosz, ofiarowany przez pewnego księcia z własnej szkatuły na zbudowanie akademii; a to skrzepla kropla potu bogacza, która mu wytrysła na nosie przy zapisywaniu się na listę składek dla pogorzalców; to talent wytwornie oszlifowany, którym szklarze przycinali szyby dla pałaców; to nerw zasuszony, który kurczył rękę handlarzowi, gdy ten sięgał po zysk nieprawy; to skrawek mózgu chłopca, który nie zazdrościł wildze skrzydeł i możliwości objadania cudzych owoców — i tak dalej. W osobnym obwinieciu zaś mam najcenniejszy klejnot: kryształ duszy dziecka nowonarodzonego... Księżyc odszedł znudzony, a może inną parę kochanków dojrzał. Nie gardzisz luba moim majątkiem?

— Tyle zaledwie zebrałeś po świecie?

— Tyle, ale straciłem daleko więcej. Natura włożyła mi do kolebki garść darów, które ja, dorosłszy, kładłem potrosze w każdą wyciągniętą ku mnie rękę z nadzieją, że je pomnożone odbiorę. Niestety, wkrótce przekonałem się, że poczciwi ludzie, dostawszy ode mnie orzech, gryźli go, zjadali ziarnko i sprawiedliwie ciskali za mną lupiny. Zawiedziony, zubożały, uciekam od nich w góry, ażeby wznieść się jak najwyżej i żyć najodludniej. W przechodzie spotkałem ciebie i zawisłem jak mucha na pajęczej siatce twego uroku.

— Potargasz te wątle nici...

— Gdybym umarł w twoich objęciach, śmierć zabrałaby uśmiechniętego. Lepsze konanie w zachwytach, niż życie w odrzecie i rozpaczach. Usiądź droga, pozwól mi upojoną szczęściem głowę oprzeć na twych kolanach, połóż mi na oczach twe dłonie... o tak, tak!... ażeby ich sen nie zawarł i serca w gniazdo węzowe nie wrzucił. Pod strażą twoją jestem bezpieczny... Nie przypelzną tu gadziny wspomnień, nie zlecą się puszczyki i nietoperze z pieczar życia... natotomiast obstąpią mnie duchy dobre... ukołyszają śpiewem, okadzą woniami kwiatów i opaszą wstęgami tęcz wielobarwnych... Już są... słyszę je... widzę... Obraz rzeczywistości znika, w jej ramach rozpina się widok rajy... zapominam, co czułem, pamiętam tylko, co czuję... Moja... moja... wiem już jedynie, że cię kocham...

(Wietrzyki zawiały nieruchomie w powietrzu i nie przerywały ciszy).

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/krajobrazy/>

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Świętochowski, Bajki [Pisma, T. III], G. Gebethner i Spółka, Kraków [1897].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0833-1

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do **Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.